ROZMAITOŚCI.

Dnia 21. Marca. № 12. Roku 1855.

POWIESCIARZ ZNAD WYBRZEŻA DEGLI SCHIAVONI

czyli

Jak się Wenecyanie bawią.

Kto w swoich przelotnych podróżach poświęci królowéj morza, Wenecyi, tylko dni kilka, a nie przestąpi progów do jéj świątyń pańskich i zaniecha wciskać się w podwoje wietrzejących jéj gmachów, tego olśnie wspaniała jéj wielkość, ten nie dostrzeże zmarszczków i bruzd na czole zbledniałém królowéj Adryi, a ponętne marzenia jéj wydadzą mu się czułością życia. Ale i tygodnie upłynąć mogą nim wyjdzie z obłędu, nim się wyrwać podoła z łona gdzie jeszcze drzy żywotna siła, nim się oderwie z placu Ś. Marka, z Piazzety i z przyległego wybrzeża „degli Schiavoni“ ażeby się puścić w ciemne manowce posępnych, ledwo cztéry piędzie szerokich ulic, albo rzucić okiem w żebracką dumę opustoszałych pałaców. Miesiące spłonąć mogą nim cudzoziemiec z wrażenia ochłonie, nim się poważy zakląć czarowne koło jakiém go opasały olbrzymy gmachów weneckich, nim mu zobojętnieją książęce podsienia w prokuratoryach, złotem jaśniejące sklepienia Ś. Marka o kopułach oryentalnych, nim go przesyci wizerunek koni u przyczołka świątyni, pół tysiąca lat już stojących na straży, nim go znęka wieża przed Ś. Markiem z ziemi wyrastająca prosto jak maszt olbrzymi Wenecyi. Lecz i wtedy jeszcze z utęsknieniem tylko odwróci oko od niespożytéj wspaniałości tych cudów, i wtedy jeszcze powstrzyma kroku pod arkadami u Zekki przy uchodzie z Piazzety, i wtedy jeszcze zgodzi się z Bretonem, że dosyć chwilkę malutką postać na Piazzecie, ażeby unieść w pamięci obraz niewygasły na wieki czarującego pałacu Dożów.

I mnie nie wygasną w pamięci marzenia które przedumałem w Wenecyi. Przede mną cudowna siedziba książąt, fantastyczne wezgłowia kolumn dźwigają jéj arkę przyodzianą w mozaikowy płaszcz z czerwonych i białych marmurów; na prawo w przezroczach wód kąpią się maszty floty kupieckiéj w porcie, a czarne gondoły jak z cięciwy wylotna strzała, pędzą po tokach; za wodami znad Giudekki wystają kopuły „il Redentore i delle Zitelle“ wynurzają się zpod morza wyspy „di San Giorgio,“ a w dalekiéj odległości krużganki „di Sa-

volo“ oblane lazurem najczystszego nieba, i wieża klasztoru di San Lazzaro. Co za widok!

Właśnie za Giudekkę zwolna zabiega słońce, godzina spoczynku wywabia mieszkańca Wenecyi z zaduchy po biurach i sklepach; wielka rodzina jednéj matki roztacza się wieczór za wieczorem po tych samych placach, poźniéj nieco pod prokuratoryą na stokach Ś. Marka, wcześniéj i jeszcze za dnia na wybrzeżu „degli Schiavoni.“ Tam schadzka bogaczów, próżniaków, i tych co niczém nie związani noce swobodnie przehulać mogą; tu zgromadzenie ludzi pracy oddanych, którym chwile oddetchu zarobek i obowiązki na miarę dają, kupców, rzemieślników, marynarzy. Święty Marek, to arystokrata, salon nowoczesny pod godłem lwa skrzydlatego, który tu z kolumny patrzy; Riva degli Schiavoni to tygrys drugie godło weneckie, za którém daléj ku wschodowi gdzie Arsenał i Molo spłaszcza się wszystko, schludne przybytki zabaw i obyczaje znikają, i gubią się w karczmach, jaskiniach i dziurach zgorszenia, występku i zgrozy.

Szczególnie, idąc Riwą degli Schiavoni, ożywianą bywała pod wieczór kawiarnia piérwsza za mostem Ponte dei Sospiri. Namioty od słońca popod domy porozbijane przepełniały się gośćmi różnych a różnych narodów; inni którym tu miejsca nie było ściskali się pod liściastą morwę jedną z tych kilku któremi się Wenecya szczyci, ten spijał kawę, ów limoniadą się chłodził, inny cygaro palił, wielu ze stambułek kurzyło. Obok wznosiły się styrty pomarańcz meseńskich, melonów kupy i stosy fig; z pomiędzy nich, za niemi i w każdéj stronie papugi w klatkach na podniesieniu, małpy na łańcuszkach, ostrygi, patelle, morskie pająki, i dziwolągi rybie zalecały się na przedaż; tu i owdzie sążnisty afisz maryonetek zaprasza na teatr niezrównanéj tragedyi Andromacha czyli sto królów trojańskich, a w przyczynku koronacya Arlekina i Colombiny; improwizator zaczyna szumnie opiewać losy Dydony i pochwałę tabaki; szarlatan wytrębuje swe cudowne leki; a baśniarz zapowiada cudowny temi dniami wydarzony wypadek w Wenecyi, albo jeźli wola bajeczkę świéżą, lub téż dawniejszą nowostkę. Powieściarza nie omijałem nigdy, i prędko z drugimi stawałem do koła.

Powieściarz był-to ulubieniec publiczności. Byle się pokazał, wyludniały się maryonetki, poeta tracił swych wielbicieli, przekupień kupujących, każdy dopadał miejsca gdzieby się przysiąść i jak można najbliżéj obok starucha. Ale téż zasługiwał istotnie na szczególniejsze względy u ludu, jego dźwięczny a giętki organ, żywość opowiadania z przyzwoitą podnietą gestem dziwnie się przyczyniały, a niewyczerpane bogactwo jego tworczéj fantazyi, która codzień umiała nowy przedmiot wyszukać i obrobić, mogła prawdziwie zastanawiać. Patrząc na niego uobecniał mi się powieściarz oryentalny; dopiéro pojąłem jak-to powieści stać się mogą źródłem rozkoszy ludowi ociężałemu, jak mieszkaniec wschodu przy bujnéj imaginacyi zapalić się może i unieść. Z większém nabożeństwem

pewnie nie słucha syn puszczy głosu z brodatych warg Behlul al Rani płynącego, jak tu marynarz i majtek w malowniczéj grupie około starego Wenecyana.

Trudno téż prześliczniéj posplatać z powagą żarty, jakiemi ten powieściarz umiał ożywiać lekki, niewinny swój przedmiot. Miejscami zręcznie rzucony dowcip wzbudzał powszechną uciechę, i donośne „bravo“ rozlegało się do koła; niestety cudzoziemcowi wiele nikło z uroku jeźli nie znał zblizka wszystkich zwyczajów domowych. Pojmować tylko mógł, jak mowa powieściarza wznosiła się w sferę prawdziwéj poezyi, jak tu władał bogactwem nieprzebraném obrazów i często do szczytności się wzmagał. Ogrzewało go uczucie prawdziwéj wielkości i piękna jego mowa rozpalała się, oko iskrzyło, a uniesieniu z jakiém opowiadał, oprzeć się niemógł i słuchacz. Opowiadał o staréj Wenecyi, przedmiot obierał z wieków świetności i potęgi weneckiéj, a miał przed sobą rękojmię w książęcym obok pałacu. Z owego ganku nachylał się do ludu Morosini Doża, tu u stopni tego wybrzeża wysiadał Dandolo śród tłumnych odgłosów zwycięstwa, a kamienie stoją dziś jeszcze świadkami tego co było. A o tych dawnych czasach prawił jakby o dniu wczorajszym, i myśmy z nim dzielili illuzyę. Powoływał się na kolumny Ś. Marka i San Teodora stojące przed nami, gdy wystawiał zwłoki obsądzonych zbrodniarzy; patrzyliśmy z nim razem, jak przeprowadzał pod inkwizycyę bohatyra przez most dei Sospiri wiszący nad przepaścią do wiecznego więzienia, i ścigali okiem za łódką, w któréj cudownym prawie sposobem w oryentalnym stroju uchodził po wodach z wiatrami. A „ponte dei Sospiri“ i dziś jeszcze łączy pałac książęcy z więzieniem, co chwila i teraz wysuwają się łódki strzeliste po stokach ulic wodnych, a stroje oryentalne mieliśmy i dotykaliśmy w kółku przy sobie. Opowiadał bajki, ale przypożyczał im barwy z rzeczywistości, z istoty naocznéj; utwory z umysłu przybierały prawdy oczywistéj, a świat duchów uosobistniał się ciałem.

Z ust tego-to powieściarza pozbierałem obrazki, które czytelnikom naszym przynieść postanowiłem; i chociaż ja go tu samego jak opowiada wprowadzam, słaby-to tylko krój tego czém jego dusza, czém mowa jego pałała. Gdzież martwe słowo porównać do żywéj mowy? zkąd dodać zdołam tych dekoracyj, które go otaczały, tego słońca jak zapadało za morze, tych czarownych pałaców, tych wybrzeży nadmorskich i tych słuchaczów łaknących słowa, i tych twarzy przebóstwionych upojeniem scen narodowych?

Przyznam się, iż widywałem i słyszałem improwizatorów po kraju u nas i w Niemczech, jak im na temat podany płynęły zdroje słów dźwięcznych, i do fortepianu ulanych; genialny pot im perlił się z czoła, aż zapał cukrową wodą zatapiać musieli; huczne oklaski wieńczyły wychwyt ich poetycki — przyznam się, żem nie podzielał zapału; — niebyło nieba, włoskiego nieba. Trawią-

ca-to tęsknota za niém, zmusiła mię do tych nowostek.

Antonello — Barkarol Wenecki.

Święciliśmy wczoraj rocznicę dnia Ś. Łucyi; nie wątpię że z nabożeństwem jak katolikom się godzi obchodziliście wszyscy święto cudownéj Patronki wzroku i oczu; że każdy z was był na mszy, i w pokorze zasyłał modły do świętéj opiekunki oczu naszych, błagając jéj przyczynienia się do łask Ojca Wszechmogącego, dawcy wszelkiego dobra i dobrotliwego rozkrzewiciela światła w niebie i na ziemi. A jak łaskawie anielska pani modły wasze przyjąć raczyła, i z jakim miłosierdziem zawsze nad naszą piękną Wenecyą czuwa, postrzegam najwymowniejszy dowód w płomieniu oka moich nadobnych paniąt przede mną, znajduję w czarującym blasku iskrzących gwiazd które się wprawdzie w téj chwili jeszcze za jedwabną siatką zmroku wstydliwie kryją, lecz już zza téj czarnéj powieki tu i owdzie zaglądają na ziemską mleczną drogę swoją, na tę wspaniałą wstęgę naszego Canal grande, którego moc czarodziejska zjednała Wenecyi przydomek „La dominante" nią téż bez zapaśnika panować będzie nad sercami ludzi, chociażby szczęśliwsze rywalki wywinąć jéj się siliły trójząb potęgi. Błogosławiona-ś bądź Ś. Łucyo na wieki za to!

I jam był wczoraj w kościele di San Moise, ażeby dać i wysłuchać mszy świętéj. I jam błagał świętéj męczenniczki, pełnéj łask miłosierdzia bożego, by mi raczyła zachować po kres żywota mego jasność w oku mym starością ociężałem, ażebym mógł śledzić w kronikach starych, i ze skarbów naszych mistrzów włoskich jeszcze wydobywał te złote włókna, z których przędzą osnuć pragnę wieczorne godziny nasze; by mi użyczyć raczyła tyle tylko światła, ażebym niepotrzebował dopraszać się litości u psa, ktoryby mię prowadził na Riwę degli Schiavoni. Ale na mszę dałem za zbawienie duszy mego przed pięćdziesięcią laty zmarłego ojca. Tak moi kochani ludzie, dzień wczorajszy spełnił pół setek wieku, który liczę od czasu gdym najdroższemu ojcu mojemu zamykał powieki, ojcu jakiego żony rzadko tak czułym jak on był znają, a najpoczciwszemu swego czasu Wenecyanowi. Gdzie tylko okiem rzucę, pałają ogniste oczy, wdzięczą się twarze młodością i zdrowiem. Już mię otacza druga, trzecia generacya, ja stoję; jak stary posąg rzymski z przeszłości, tak ja wystaję w obecność.

Ale chociażbyście wielmożni i wielce szanowni państwo moi, znali byli Antonella mojego ojca, chociażbyście żyli byli spółcześni najżwawszemu chłopakowi w republice, najzręczniejszemu gdzie chodziło jak zagrać na mandolinie, najbieglejszemu jak zaśpiewać z Gerusalemy Tassa, najzwinniejszemu z przewoźników, jakim się kiedy szczyciła gondoła wenecka i wały Canalozzo naszego, ów co zawsze a zawsze wychodził zwycięzcą z Regaty, chociażbyście znali go byli, zapomnielibyście go byli już dawno. Bo prawdziwie, czas teraz przesuwa się z takim pospiesznym lotem około

ziemi, że pół wieku jest nazbyt by zatrzeć imiona możnych i potężnych bohatyrów i książąt, coż dopiéro biednego barkorola weneckiego! Miejcie więc względy dobrodzieje moi i przyjaciele, względy nad synem, gdy wiedziony uczuciem wdzięczności wskrzesza zpod gruzów zgasłéj przeszłości pamięć ojca, i z dumą acz może stronniczą, dzisiejszego wieczora o nim tylko wspomina, a zabawić was pragnie najcudowniejszém zdarzeniem z jego życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. 3. 7. 8. 9. 10. 11. Rozmaitości).

Akt IV.

Scena 1.

Gęsta zarośl w okolicach Lukano. — W głębi część murów zamku. — Noc.

Manfred *(szuka drogi pomiędzy zaroślami: w chwili gdy spogląda w niebo, chmura osłania księżyc).*

I ty mi także swoje zasłaniasz oblicze?
Wszystko mię opuściło — na nic już nie liczę —
Żadna mi gwiazda nie lśni na żałobném niebie,
Ponurą tylko ciemność widzę w koło siebie;
A w duszy głębsza jeszcze panuje pomroka....
Niegdyś ziemia nie była dla mnie dość szeroka,
A dziś tak nizko spadłem, że najlichszy z ludzi
Potrąca mię bezkarnie i gniewu nie budzi....
On szczęśliwy, z rodziną swoją się jednoczy!
Nie mogłżem w jego zamku dumnie zajść mu (w oczy?
Nie mogłżem go wywołać na otwarte pole
Walki zajadłéj, strasznéj? Mogłem — Czemuż (wolę
Jak wąż ukryty w zielu, chytrze i zdradliwie
Dokonać krwawéj zemsty, którą w sercu ży- (wię....?
(spostrzega światło w oknie wieży).
Komuż-to światło błyszczy?.... Któż wié — może (ona!
Rzewną tęsknotą zdjęta, w smutku pogrążona,
Gardzi jego miłością i chęcią uprzejmą....
Płacze — a usta męża gorzkich łez nie zdejmą!
Płacze — a syn występnéj nie pocieszy matki....!
Rodryku! tyś mi wydarł szczęście i dostatki,
Duszę mą zatruł jadem, przywiódł do rozpaczy —
Bóg ci może przebaczyć — Manfred nie przeba- (czy —
(Diavolo i Malatesta wysuwają się z gęstwiny).
Czego chcecie?

Diavolo.

Czy długo myślisz tak po lesie
Samotnie dumać? — Coż ci ten spacer przynie- (sie?
Nam się już uprzykrzyło, wyznajem ci szczerze,
Liczyć mnichów różańce i klepać pacierze,
Noże nasze rdzawieją, a zyski nieskore —
Daj nam jaką robotę. —

Manfred.

Przychodzicie w porę:
Cieszcie się — los przyjażny spełnia wasze chę- (ci. —
Znam ja was ptaki nocne, wiem ja jak was nęci
Najmniejsza sztuka złota stęplem oznaczona:
Wiem ja żeście gotowi, by też z matki łona
Wydrzeć płaczące dziécię, a za jedną razą
W piersiach śpiącego męża utopić żelazo;
I rąk z krwi nie otarłszy zasiąść do biesiady,
Opłaconéj korzyścią morderstwa i zdrady. —

Cieszcie się! — rzadkim trafem dla łotrowskiéj (rzeszy
Zbrodnia waszego Wodza, dzisiaj was rozgrze- (szy;
A któż wié, może Niebios zemsta sprawiedliwa
Za narzędzie skalanych rąk waszych używa. —

Malatesta.

Niechże ci zemsta Niebios chęć dobrą odsłuży,
Zwłaszcza jeżeli tutaj chcesz pozostać dłużéj. —

Manfred.

Co chcesz przez to rozumieć?

Malatesta.

Że choć to kraina
I górzysta i leśna, ciasną być zaczyna
Dla głowy, któréj cenę wzniesiono wysoko.
Zbiry mają słuch bystry i bystrzejsze oko.
Tom tylko chciał powiedziéć — ostrzeżenie (szczére.

Manfred.

Kiedy dąb stary uschnie, czeka na siekierę:
Burze dawno go z kory i z liścia odarły;
Upadnie — mała szkoda — a pień obumarły
Nie czuły jest na rany — niebezpieczno przecie
Przybliżać się do niego — upadkiem swym (zgniecie.

Diavolo.

Tymczasem panujący nam Książę łaskawie
Radby jak widać, koniec położyć twéj sławie,
I Hrabiego Lukano zajął tym przedmiotem.
Hrabia nie zaspi sprawy.

Manfred.

Zkądże wiecie o tém?

Diavolo.

Widziałem tłumy zbrojnych wieśniaków po dro- (dze,
Jak na wielką obławę; a z tego dochodzę,
Że książęce galery donieść już musiały,
Czyj to okręt wpędzony został na te skały. —

Malatesta.

A Hrabia życiem twojém tak się zająć raczył,
Że podwójną nagrodę każdemu przeznaczył,
Ktoby cię żywcem schwytał.... mordu nie wy- maga.

Manfred.

Dosyć — dosyć — przestańcie! — jeszcze ta (zniewaga!....
Nie dosyć że przez jawny gwałt i podstęp skryty
Bezkarnie się mojemi przyodział zaszczyty,
Że mi wydarł co tylko najdroższego miałem;
Jeszcze chciałby się pastwić nad znędznioném (ciałem,
By nie stracił jednego jęku, ani drgnienia
Wyciśniętych przez długie katów wysilenia....!
Zbójca leśny na dobro czyhający twoje
Dawno serce zatwardził przez mord i rozboje,
I gardło ci poderznie, dla marnéj zdobyczy;
Przecież uderzeń pulsu twojego nie liczy,
I wielkości zadanéj blizny nie rozmierza.....

Malatesta.

I cóż tedy zamyślasz? — Mów co robić mamy? —
Jeźli cię znajdzie, zejście będzie nie ciekawe.

Manfred.

Tak sądzisz? — Niechże swoją rozpocznie obła- (wę,
I wyrokom książęcym zadosyć uczyni —
Niechże przyjdzie i w mojéj szuka mię jaskini —
To mój dóm, to méj zamek, to dzisiejsze miano:
Nic więcéj nie posiadam — wszystko mi zabrano;
Wszystko, prócz zemsty, z którą przyjąć go (chcę godnie. —
Niechże chłopstwo swe zbroi w oręż i pochodnie,
Łuną piekielną lasów rozświeci tajniki,
I własną zajadłością tłum rozpali dziki;
Nie strwoży mnie....

Diavolo.

Cóż garstka przeciw tłumom znaczy?
Gdzie masz środki obrony?

Manfred *(z uniesieniem)*.

Znajdę je w rozpaczy:
A do walki z nim własne siły me wystarczą:
Ramię będzie orężem, piersi będą tarczą;
A zakładem téj walki.... dam zakład? a jaki?....
Wszak on wszystkie rycerstwa wydarł mi ozna- (ki.....!

(w obłąkaniu wściekłości).

Ha! ha! szlachetny Hrabio! — Dam ci zakład (nowy.....

(wyrywa sobie garść włosów).

Wściekłość go z nienawistnéj wyrywa ci głowy —
I zginę, albo w twojéj krwi go zbroczyć muszę...
Wyzywam cię do walki, na gardło i duszę! —

Słyszysz Hrabio? — Ja nędzarz, odarty zgło-
(dniały, —
Bo dary twéj litości ust mych nie skalały; —
Wycieńczony rozbiciem, głodem i pogonią
Wyzywam cię do walki, jaką zechcesz bronią.....
Daléj, synowie nocy! pole się otwiéra!
Łączmy roztropność węża z męstwem bohatéra:
Śpieszcie wszyscy na Zamek przez tajemne
(wchody —
Nóż do ręki! na krwawe zapraszam was gody!
(odchodzą).

Scena 2.

Komnata w jednéj z wież zamkowych.

Noema *(wbiega obłąkana, porywa lampę stojącą na stole i wyrzuca ją przez okno).*

Precz z tém ohydnem światłem! blask jego mię
(trwoży....
Komuż w tych wyciach wiatru zagraża gniew
(boży....?
Nieszczęsna! Wszystko swojéj odmawia mi pie-
(czy:
Winę moją poświadcza, i winnéj złorzeczy.
Niema dla mnie schronienia, choć świat tak sze-
(roki:
Niechże ziemia pod memi zapadnie się kroki,
I raz występną w swoich przepaściach zagrze-
(bie!...
Długoż mam cierpieć? — Brakłoż piorunów na
(Niebie? —
Miałam zostać przedmiotem wstrętu i pogardy:
Oh! czemuż mię w kolebce nie ujął sen twardy,
Jakim śpią w głębi ziemi nieruchome bryły
Bez pojęcia i czucia — te nigdy nie żyły,
Kilka chwil bytu wieczną nie spłacą katuszą,
I trąby ostatniego sądu ich nie wzruszą.....
Czyliż uczucia moje odemnie zawisły?....
A gdyby rozpacz nagle odjęła mi zmysły,
Gdyby mi zdarto maskę fałszu i obłudy......
Drżę, myśląc czém dziś jestem, a czém byłam
(wprzódy.
Niestety! byłam żoną zacnego rycerza —
Jestem kochanką zbójcy!.... Przebóg ktoż tu
(zmierza?
Kto mię skrycie podchodzi....?

Klotylda *(wchodzi ze światłem).*

Przebacz mi, że wchodzę
Niewezwana przez ciebie — ale byłam w trwodze
I chciałam.....

Noema *(w gwałtownem poruszeniu).*

Czego szukasz i za czyją wiedzą?
Od jakiegoż to czasu kroki moje śledzą? —
Każdemu z nas w noc późną czuwać się wyda-
(rzy —
Co tu widzisz? — Co w mojéj wyczytujesz twa-
(rzy? —

Klotylda.

Czytam z boleścią przestrach śmiertelny czło-
(wieka,
Co przez świat potępiony, sądów Bożych czeka.
I nadzieję utracił, bo mniema w rozpaczy,
Że Bóg, o którym zwątpił, już mu nie przebaczy.
Widząc tę rozpacz w tobie, ledwie oczom wierzę.

Noema.

Czy tylko rozpacz widzisz? nic więcéj? Mów
(szczerze —
Wzrok twój zasięgnął głębiéj — Ukrywasz da-
(remnie —
Czyżbyś tak przenikliwie wpatrzyła się we mnie?
Powiedz — co chcesz wyśledzić?

Klotylda.

Domysł cię twój myli:
Nie przyszłam cię tu śledzić — lecz od owéj
(chwili
Spotkania z nieznajomym, wszyscy słudzy twoi
Zmianę w tobie spostrzegli. — Cóż cię niepokoi?

Noema.

Więc oni dojźrzeli! — Gdzież się nędzna schronię?

Klotylda.

Coż to za tajemnica?

Noema.

Utop nóż w mém łonie,
Wtrąć w przepaść — niech rozerwą żywot mój
(skażony
Śmiertelne żądła gadów i larw nocnych szpony —
Ukryj gdzie chcesz — byleby świat o mnie nie
(wiedział:
Bylebyś wieczny dla mnie otworzyła przedział
Z tym którego zhańbiłam. —

Klotylda.

Ty zhańbiłaś? — Kogo?

Noema.

Komuż winy niewiasty hańbę przynieść mogą?—
Córka zmieniwszy imię, złemi postępkami
Zakrwawia serce ojca, przecież go nie plami:
Niecna siostra braterskiéj czci nie nadwerężą:
Ale występna żona — zdradzonego męża
Ubliża jego sławie nie zatartą plamą.

Klotylda.

Ciebież mam o to winić?

Noema.

Obwiniaj mię samą —
Pamiętasz tu owego dzikiego przychodnia.....
Szaleństwo nas zbliżyło, rozłączyła zbrodnia —
Słuszną przejęta zgrozą odwracasz swe oczy:
Przeklęty w oczach ludzi kto jak ja wykroczy!
Nie ulżą mu pociechy, ani łzy nieczyje......
Nie zdradzaj mię, téj hańby mąż mój nieprzeżyje,
Nie zdradzaj mię! W kolebce zabijasz mi syna—
Ledwie matkę znać począł, ledwie żyć zaczyna....
Nie zbłądziłam rozmyślnie — walczyłam czas
(długi.

Klotylda.

Hańba skłania cię do nóg staréj twojéj sługi—
Wstań, przebóg! Wszystko zdradza twoją taje-
(mnicę:
I ten wzrok osłupiały i strwożone lice,
Sama na swoją głowę wywołujesz gromy.

Noema.

Niech spadną, niech mię zmienią w posąg nieru-
(chomy,
Niemniéj przeto sumienie oskarzać mię będzie.—
Gdyby mi mąż mój niegdyś w gniewliwym zapę-
(dzie,
Odmówił przebaczenia, gniew zniosłabym śmiało,
Gdyżby mię własne moje serce rozgrzeszało. —
Dziś gdy mię jawnéj winy potępia ohyda,
Na cóż mi się nieszczęsnéj miłosierdzie przyda
Męża, którego sędzią Bóg mi tu naznaczył,
Choćby też i z litości przebaczyć mi raczył!

Klotylda.

Wróć do swojéj komnaty — tam w snu twego
(przerwie
Nikt natrętnie boleści twojéj nie rozerwie. —

Noema.

Mam wrócić, mówisz? Nigdy! — Nic mię nie
(nakłoni
Skalać czystéj ubiegłych dni mojéj ustroni.—
Czy słyszysz? Ktoś tu idzie.....

Klotylda (*wyjźrzawszy*).

Poznaję zdaleka:
To Hrabia! Najstraszniejsza próba tu cię czeka.
Uspokój się na Boga! Niech cię nie zastanie
W takiéj rozpaczy — ukryj twoje pomięszanie.

Noema.

Żal, boleść i zgryzota rwą me serce tłumnie:
Jak ukryć ten stan duszy, gdy się zbliży ku mnie?
Idzie z pośpiechem szczeréj i poufnéj chęci. —
Cóż mu występna żona od siebie poświęci....?
Oh! przekleństwo tamtego spełniać się poczyna.

Klotylda (*surowo*).

Pani mąż twój nadchodzi — pamiętaj na syna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dyamenty.

Największy ze wszystkich potąd znanych Dyamentów jest w skarbcu portugalskim, w objętości kurzego jaja, waży pół funta. Po nim idzie dyament Raja Matume na wyspie Borneo, którego wagę oznaczają na 5 łutów; trzecim w rzędzie jest Kohinoor, znany z wystawy londyńskiéj, ważył w surowym stanie 10 łutów, teraz obrobiony zaś tylko łutów 4; a w cenie 40 milionów reńskich, zostaje w posiadaniu królowéj angielskiéj. Po Kohinoorze czyli świetlistéj górze następuje Pitt czyli Regent który Ludwik XV u Anglika pewnego imienia Pitt za 135.000 funt. str. nabył, a cenią go teraz na 6 milionów reńskich. Równéj piękności i w wadze 4 łutów jest dyament Sułtana tureckiego; i rosyjski osadzony w berle ważący łutów dwa i pół. Nabyła go Katarzyna II w Amsterdamie za 900,000 fl. z dodatkiem dożywocia po 8000 fl. rocznie. W skarbcu austryackim jest dyament wagi 2 łutów. — Gniazda dyamentów najbogatsze są w Brazylii, po Brazylii idą Hindostan, Cejlon, Borneo, Ural i Algier.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*